

G. Zapolskiej w Państwowym Teatrze Nowym

NIKT, ani dzisiaj, ani dawniej nie uważał Zapolskiej za socjalistkę. Była tylko w swoim czasie, jak zresztą większość postępowej inteligencji polskiej, tzw. „sympatyczką” ruchów socjalistycznych, o czym świadczy jej, tak bardzo poczytna w pierwszym 20-leciu XX w., a dzisiaj zapomniana powieść „Zaszumi las”.

Jednak mało który z pisarzy może poszczycić się tak celnymi ciociami, jak te, które Zapolska zaczęła ustrojowi burżuazyjno-kapitalistycznemu przez swe komedie: „Ich czworo”, „Panna Maliczewska”, „Zabusia”, a przede wszystkim przez „Moralność pani Dulskiej”. Czemuż to zawdzięcza? Przecież za cel swoich pocisków obrała obyczajowość burżuazyjną, ściślej mówiąc małomieszczańską, a nie sam ustrój, który ją toczył, jak grzyb toczy zmurzałą rudę. Ale obyczajowość ta tak nierozwiewała się, była związana z ówczesnym ustrojem kapitalistycznym, była tak do absurdu doprowadzonym wnioskiem z jego przesłanek społecznych, była do tego stopnia jego zwyrodniałym potomstwem, że — pognebiając dziecko, nie można było jednocześnie — nawet nie mając świadomego zamiaru — nie potępić rodzica.

Mówią, że miłość jest ślepa. Za to nienawiść ma niekiecący dar jasnowi-

dzenia. Drapieżnej spostrzegawczości Zapolskiej nie uszedł ani jeden rys charakterystyczny, tzw. „koftuneri”. W jej zakresie Zapolska jest ostrowidzem. Chwyta na gorącym uczynku nie tylko słowa i czyny, ale podświadome odruchy, niesformułowane myśli, niewypowiedziane pragnienia. Broń, jaką wybrała, — śmiech, — w jej rękę staje się zabójcza. I dlatego dzisiejszy widz z rozkoszą patrzy na publiczną chłostę, jaką w swoich komediach wymierza Zapolska obłudzie, zakłamaniu tzw. „podwójnej moralności” pani Dulskiej.

W E WSTĘPIE do programu, J. A. Szczepański, pisze, że na „Moralność pani Dulskiej” można dziś patrzeć, jak na dokument historyczny. Można, ale nie na jej całość. Historyczny stał się dziś jedynie ten moment, gdy Zbyszek posługuje się groźbą małżeństwa z Hanką, jako straszakiem i narzędziem zemsty na matce. Bo dziś już małżeństwo drobnego urzędnika z chłopką dawno przestało być mezaliansem. Również oburzający sposób traktowania służącej, jak płatnej niewolnicy, przez całą rodzinę Dulskich, z wyjątkiem przewrażliwionej Meli, dawno należy do przeszłości.

Natomiast jeden z najpotworniejszych bastionów koftunizmu — obłuda — jeszcze nie jest całkowicie obalony. I kto wie, czy nie dzięki temu żywiołowemu i artystycznie dojrzałemu szturmowi, jaki Zapolska przypuściła do tego bastionu w „Moralności”, pani Dulska stała się równie nieśmiertelnym typem w komediopisarstwie polskim, jak niegdyś „Świętoszek” Moliera w literaturze świata. Nie jest to twierdzenie zbyt śmiałe wobec faktu, że „Moralność pani Dulskiej” po 44-letnich latach zasłużonego żywota na wszystkich scenach polskich wywołuje z coraz to nową widownią ciągle ten sam odruch oburzenia i potępiającego śmiechu.

NA OSTATNIEJ PREMIERZE te odruchy przyjmowały chwilami postać żywiołowej owacji, dzięki udziałowi w spektaklu dwóch gwiazd sceny polskiej: **Mieczysława Cwiklińskiej i Ireny Eichlerówny**. Premiera „Moralności” stała się jakby wstępem do jubileuszu Cwiklińskiej, zapowiedzianego na kwiecień. Burza oklasków, jaką powitano jej ukazanie się na scenie w nieśmiertelnym czepku nocnym, rannym koftaniku i halce pani Dulskiej, kwiaty, którymi ją obdarzono, dały wyraz tym uczuciom i uznaniu, jakie osiągną szczytowe napięcie w dniu jubileuszu.

Cwiklińska dała postać żywą, ściśle dopasowaną do autorskiej koncepcji, a jednak świeżą i oryginalną. Uwydatniła w niej przede wszystkim nadtość, pewność siebie, przekonanie o swojej niezaprzeczalnej

wyższości moralnej nad otoczeniem, jakie charakteryzuje wszystkie Dulskie. Po scenie krzątała się, nie zadowolona kumoszka, ale niekoronowana królowa, matka wszystkich koftunów, tyran domowy, pod płaszczykiem obowiązków rodzinnych ukrywający żelazną klatkę dla opornych, wyłamujących się z tradycyjnego szablonu. Jej Dulska to matriarchat rodzinny w karykaturze.

Zasłużone triumfy święciła również **Irena Eichlerówna**. Jej Hanka była prawdziwą chłopką dziewczyną, rzuconą na miejską poniewierkę pod stopy dulszczyzny. Bierna, uległa, zahukana, pod skorupą zestarełego niewolnictwa kryła płomień buntu i odwetu. Scena końcowej rozgrywki była zagrana po mistrzowski. Powtarzające się zdanie: „a dajta, wy matka chrzestna, spokój” — za każdym razem przybierało na żywiołowej dramatycznej sile, aż do ostatecznego wyzwania. I tu trzeba pokłonić się bystrości społecznych przewidywań Zapolskiej. Na pytanie Dulskiej, czy po otrzymaniu odszkodowania nie będzie miała żadnych pretensji, Hanka odpowiada: „Ja ta nie, ale co ono (dziecko) powie, jak doronie?” — te słowa w ustach Eichlerówny zabrzmiały, jak groźba rewolucji.

Z pozostałych wykonawców świężą koncepcję stworzył **Władysław Sheybal**. Jego Zbyszek był raczej schyłkowcem, niż łobuzem. Więcej w nim było bezsilnego buntu, niż bezmyślnego lumpowania się. Ot, taki rozbitek Zielonego Balonika na bagienku nieszczańskim.

Sojeczka w pierwszym akcie może zanadto podkreślała chorobliwość Meli, natomiast w rozmowach ze

Zbyszkim i z Hanką zdobyła się na szczery, naiwny, rozbrajający li-rizm. **Anusiakówna** w roli Hesi zapominała chwilami o granicy między rozwydrzoną pannicą, a rozbrzykanym podlotkiem. **Danuta Urbanowicz** przez nadmierne naciskanie pedału melodramatycznego wprowadziła do epizodu lokatorki pewną nutę niezamierzonego komizmu. **Jadwiga Leman** w roli Juliaszewiczowej zaprezentowała jeszcze jedno oblicze „podwójnej moralności” w rodzinie Dulskich. **Nadworna** trafnie uchwyciła podwójny ton uniżoności i chytrych w roli Tadrachowej. **Mieczysław Winkler** miał doskonały moment przedzierzgnięcia się z domowego fajtlapy Felicjana Dulskiego, w kawiarnianego szykownika.

Irena Babel, jako reżyserka wykazała rękę wprawną i energiczną. Dała sztuce właściwe tempo bez dłużyzn, bez niepotrzebnych synkop.

Kostiumy na ogół utrzymane w charakterze epoki. Tylko muncurki szkolne dziewczynek budzą pewne zastrzeżenia. W dekoracjach realistycznych Marian Sigmund raz po padł w karykaturę, uzupełniając charakterystyczne portierey czerwona obwódka z pomponami. Szczęśliwym pomysłem była lampa wisząca monstrualnych rozmiarów, podobna do poipa o tysiącach macek, symbol zwyrodniałego ogniska rodzinnego. Dobrym szczegółem były sztuczne palmy na proscenium, pieczołowicie odkurzane przez Dulską.

Przedstawienie, poza drobnymi uchybieniami, jedno z lepszych w tym sezonie nie tylko z powodu udziału dwóch gwiazd.

S. PODHORSKA-OKOŁOW

KURIER ODDZIAŁOWY